



NALEŻNA
ODPŁATA

ROBERT JANAS

NALEŻNA ODPLATA

ROBERT JANAS

Copyright © by Robert Janas

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Projekt okładki: Robert Janas

ISBN 978-83-941243-2-8 pdf

ISBN 978-83-941243-3-5 epub

ISBN 978-83-941243-4-2 Mobi

...jaką miarą mierzycie, taką i wam odmierzą.

(Łuk. 6:38)

Rozdział 1

Ludwik Miskowski prowadził swój samochód krętą wiejską drogą wijącą się przez piękny liściasty las. Po obu stronach drogi drzewa oblepiały liście we wszystkich kolorach jesieni, od ledwo, co żółkniejących się małych listków brzoź, poprzez miodowe kolory licznych tutaj buków, aż po królów jesieni, dorodnych klonów, z których promienie wydobywały mieszaninę kolorów od żółci na brzegach swych liści podkreślających gasnącą już zieleń lata w ich środkowej części lub dla odmiany czerwieniejącymi się. Gdzieniedzie zieleń przebijających się sosen i świerków podkreślała tylko uroki jesieni. Pełni dopełniała ciepła, pełna słońca pogoda.

Kierowca jechał powoli.

Prawdziwa polska złota jesień – pomyślał.

Prowadził swój samochód niespiesznie, ale bynajmniej nie z powodu piękna otaczającego go pejzażu, ani wyboistej zwirowej drogi prowadzącej go do celu. Ów cel powodował, że

wcale mu się nie spieszyło. Powoli więc, lawirował między kolejnymi wybojami, aż droga doszła do skraju lasu, za którym pojawiły się pierwsze domy małej wioski. Leśnówka położona pomiędzy lasem z jednej strony, a polami uprawnymi z drugiej, składała się zaledwie z kilku gospodarstw rolnych. Była to mała, niemal zapomniana przez Boga osada, jakich wiele w całej Polsce. Wszystkie bramy prowadzące na podwórza były otwarte, jakby ich gospodarze zapraszali do wejścia, jakby nie mieli nic do ukrycia. Ludwik Miskowski zatrzymał swojego bogato wyposażonego SUV'a przy czwartym obejściu z prawej strony. Nauczony zawodowym doświadczeniem starał się jak najmniej ingerować w prywatność odwiedzanych przez niego ludzi, do czego zmuszały go obowiązki służbowe. Zatem zostawiwszy samochód na drodze, wziął ze sobą dokumenty i pomacał się po kieszeni marynarki sprawdzając, czy znajduje się tam mały aparat cyfrowy. Wszedł niespiesznie na podwórze powoli rozglądając się po całym obejściu. Po prawej stronie dom z białej cegły, nieotylnowany, na wysokim podpiwniczeniu. W głębi podwórza stała stara murowana stodoła, dla odmiany z czerwonej cegły, a po lewej stronie kilka budynków gospodarczych, zapewne jakiś chlewik lub obora. Wszystkie zabudowania robiły wrażenie zadbanych, choć niegrzeszących, ani

nowością, ani najmniejszym przejawem jakichkolwiek usprawnień. Podwórze wymiecione i zupełnie puste, poza chyba już nieużywaną studnią, jak sądził, w jej centralnym punkcie.

Ani psa z kulawą nogą.

W tym momencie dostrzegł jednak biskoptowego kundla leżącego obok swej budy. Wydawało się, że zwierz niezbyt interesuje się przybyszem, ale jego duże czarne ślepia śledziły każdy jego ruch. Miskowski zastanawiał się czy spokój psa wynika z jego charakteru, czy może ze starości, czy też czeka spokojnie, aby zaatakować intruza, gdy tylko nieostrożnie zbliży się na odpowiednią odległość. Tak czy inaczej, poza psem nie dostrzegł żadnego innego zwierza gospodarskiego. Dzisiejsze wioski różniły się bardzo swym charakterem od tych, jakie zapamiętał ze swego dzieciństwa, kiedy to większość letnich wakacji spędzał u swych dziadków we wschodniej Polsce. Wtedy zawsze coś się działo. Po podwórku biegało kilka psów, nie wspominając już o wszędobylskim drobiu, gdzieś pod domem wylegiwały się koty czekając na resztki z posiłków, albo na wieczorny udój mleka. Dziadek zawsze coś majstrował w swojej małej stolarni. Babcia pichciła posiłki przy otwartych drzwiach domu, albo razem z obojgiem dziadków chodził choćby przewracać skoszoną trawę, plewić niewielki ogródek

warzywny, albo pomóc w żniwach na ich zaledwie trzyhektarowym gospodarstwie. Często wieczorami zachodzili jacyś sąsiedzi, aby pogadać o czymkolwiek. Sam jednak biegł beztrąsko po łąkach wraz z całą wioskową dzieciarnią.

Miskowski odpędził jednak te wspomnienia, gdyż zbyt kontrastowały z motywami, dla których się znalazł w tym miejscu. Wyjął z kieszeni cyfrówkę i kliknął zdjęcie domu. Odwrócił się i zrobił kolejne zdjęcia: stodoły i obórek.

– A szanowny Pan, do kogo? – Usłyszał za sobą głos.

Odwrócił się. Zobaczył mężczyznę w średnim wieku. Ubrano typowo jak niemal każdy wiejski gospodarz. Miał na sobie schodzone spodnie, stary wyblakły sweter, a spod niego wystawał kołnierz flanelowej koszuli. Całość ubrania nie należała do najczyściejszych.

– Szukam pana Karola – Miskowski spojrzał na swoje dokumenty – Buszaka.

– A, o co się rozchodzi?

– To pan? Jestem Ludwik Miskowski. Czy mam przyjemność z panem Buszakiem, Karolem Buszakiem? – Miskowski postąpił parę kroków w kierunku rozmówcy wyciągając dłonie na przywitanie.

– To zależy, kto pyta. – Gospodarz nie wyciągał rąk z kieszeni.

Odpowiedź zastanego człowieka uświadomiła Ludwika Miszkowskiego, że ma przed sobą właściwego człowieka. Jednak jego zachowanie raczej nie wróżyło spokojnego załatwienia sprawy.

– Jestem tu na polecenie sądu z...

– A tu nie ma żadnych przestępców. Tu sami spokojni ludzie żyją. – Gospodarz przerwał tonem jakby zupełnie niewinnego człowieka, nieświadomego przyczyn przybycia gościa.

– Nie wątpię, panie Karolu. – Miszkowski chciał, choć trochę zjednać sobie swego rozmówcę.

– Karol, to ja dla kobity jestem. A z szanownym panem to się nie znamy, prawda?

– Prawda – przyznał Miszkowski. Wiedział już, że czeka go ciężka przeprawa. – Otóż panie Buszak – zaczął jeszcze raz – jestem na polecenie sądu. Mam obowiązek poinformować pana o ostatecznym terminie spłaty kredytu udzielonego panu przez bank na zakup sprzętu rolniczego. W sumie bank żąda zwrotu maksymalnie do 30 września, stu dwudziestu tysięcy sześćset trzydziestu dwóch złotych i osiemnastu groszy zaległego kredytu wraz z odsetkami w wysokości...

– Jakimi to odsetkami panie? Ja żadnych odsetek nie brałem.

– Odsetki to dodatkowe odszkodowanie za nieterminową spłatę kredytu.

– Żadnych odsetków płacić nie zamierzam.

– A zaległy kredyt? – Miskowski postanowił działać etapami.

– A z czego? – Gospodarz niemal ironicznie zatoczył ręką krąg po swoim obejściu.

– Kredyt wziął pan na ciągnik oraz urządzenia na wyposażenie pieczarkarni. Czy zgadza się?

– A co ma się nie zgadzać?

– Gdzie to wszystko jest?

Rolnik zastanowił się. – Chodź pan. Pokażę panu. – Machnął ręką na gościa i skierował się w kierunku stodoły.

Miskowski poszedł za swoim przewodnikiem, który właśnie otwierał małe drzwi w wielkiej drewnianej bramie stodoły.

– Patrz pan.

Miskowski zajrzał do wewnątrz. Było tam zupełnie pusto. Żadnej pieczarkarni, żadnego sprzętu choćby starych wi-

deł, ani nawet żadnego zboża czy siana. Zupełna pustka. – Tu nic nie ma?

– Ano nie ma. – Rolnik przytaknął.

– Sprzedał pan to wszystko?

– A gdzie tam?

– No to gdzie się to wszystko podziało?

– Nie wiem. – Rolnik spokojnie wzruszył ramionami i zamknął drzwi do stodoły.

Słowa te rozgrzały Miskowskiego do białości. – *Kolejny cwaniak.* – Zachowanie rolnika wskazywało, że już biorąc kredyty nie zamierzał go spłacać. Już nie jeden raz miał do czynienia z podobnymi typkami. Arogancki sposób bycia rolnika wzbudzał w Miskowskim najgorsze instynkty. Nie lubił takich gnojków. Podświadomość nakazywała mu obejść się z delikwentem jak najostrzej, mimo że rutyna zagłuszała w nim ów instynkt.

– Daję panu dwa tygodnie. – Mimo wewnętrznego zderzenia wypowiadał swe słowa zupełnie spokojnie, tak, że postronny człowiek nie zauważyłby śladu targających nim emocji. – Jeśli za dwa tygodnie nie ureguluje pan długu, będę musiał wejść na hipotekę pańskiego gospodarstwa.

– Może se pan wchodzić. Tylko uważaj pan by z drabiny nie spaść – Buszak zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Jako zabezpieczenie kredytu przedstawił pan swoje gospodarstwo. – Jeśli będzie trzeba to eksmituję pana bez zmruczenia oka.

Na te słowa rolnik nieco spochmurniał. Miskowskiemu ulżyło, że popsuł mu samopoczucie. Teraz chętnie zgniótłby go jak robaka. Jednak rolnik schylił się i podniósł niedaleko leżący kawałek drąga.

– Ja ci pokażę! Łachudro jedna! – Rolnik ruszył w kierunku Miskowskiego. – Myślisz, że jak garniturek włożysz to ci wszystko wolno!

– Nie jestem z panem na ty.

– A poszedł ty! – Buszak nerwowo pomachał kijem.

Ludwik Miskowski odruchowo cofał się ku bramie. Kątem oka zauważył stojących przed nią ludzi. – *No to może być po mnie.*

– A wy czego?! Gapić się przyszliście?! Poszli stąd!

Ostatnie okrzyki rolnika bardzo ulżyły Miskowskiemu, bowiem dotarło do niego, że gapie nie przyszli tu bynajmniej dla obrony swego ziomka. Gdy się do nich zbliżał rozstąpili się

by mógł bezpiecznie przejść. Sami też się nieco cofnęli, aby zbytnio nie prowokować właściciela gospodarstwa.

Miszkowski zauważywszy sprzyjających mu ludzi, a przynajmniej nie wrogich, postanowił kuć żelazo póki gorące. Odchodząc od gospodarstwa Buszaka zagadał do miejscowych.

– Nie wiecie panowie co się stało ze sprzętem, który kupił Buszak?

Ludzie patrzyli na obcego zachowawczo, jakby nieufnie. Widok był iście pegeerowski. Jeden z ludzi miał na sobie robocze ubranie, niegdyś niebieskawe, gumofilce na nogach, i berecik z antenką. W zębach trzymał prawie wypalonego peta. Drugi z mężczyzn był znacznie młodszy. Ubrany w stary zielonkawy wojskowy dres, który za jego młodych lat był marzeniem młodych chłopców, a w którym dzisiejsza młodzież nie chciałaby nawet sprzątać kibla. Na nogach miał wybrudzone białe najki. Głowę zdobiła stara i również nie najświeższej nowości bejsbolówka z napisem: New York. Inni uczestnicy widowiska prezentowali równie ciekawą kolekcję leciwych ubrań, kolorowych spodni, marynarek, sweterków i innej konfekcji oraz niedogolonych twarzy.

– Co? Chce pan byśmy zakapowali człowieka? – odezwał się ten w bejsbolówce.

– Dlaczego zaraz zakapowali – tłumaczył Miszkowski. – Przez takich jak ów człowiek co nie spłacają kredytów to brakuje pieniędzy na oświatę, albo na zdrowie, czy choćby na zasiłki?

– A ile tego wzięt?

– A jak Pan sądzi? Ile byłoby zasiłków dla bezrobotnych za ten ciągnik i urządzenia do uprawy pieczarek?

– Dużo?

Miszkowski cieszył się, że udało mu się trafić we wrażliwą strunę. – Ano bardzo dużo, Dla waszej wioski to by na parę lat starczyło.

– Aż tyle?! – wyrwało się jednemu z mężczyzn.

Miszkowski tylko pokiwał głową chcąc dać do zrozumienia, że bardzo dużo.

– U córki to wszystko trzyma – odezwał się człowiek z petem.

– A gdzie córka mieszka?

– W Nikiejkach, w sąsiedniej wsi. – Inny człek wskazał ręką kierunek, najwidoczniej zachęcany przez tego z petem.

– Tam całą uprawę mają – rzekł inny. – Nawet ludzi na czarno zatrudniają.

– Zamknij ryja byś za dużo nie powiedział – znów poruszył się wygasty pet w ustach, którego właściciel był zapewne nieformalnym przywódcą całej grupki. – Idź pan do Nikiejków, tam cały sprzęt pan znajdzie.

Pet odwrócił się i poszedł w kierunku małej budki pełniącej zapewne rolę wiejskiego sklepu.

Miszkowski poszedł do swojego samochodu. Otworzył drzwi wsiadł za kierownicę i odetchnął głęboko.

* * *

– Wolisz dwie czy jedną łyżkę kawy?

Zachary trzymając w jednej ręce puszkę z kawą, a w drugiej srebrną łyżeczkę pochodzącą z końca dziewiętnastego wieku, czekał na odpowiedź. W rogu kuchennego blatu właśnie wyłączył się elektryczny czajnik.

– Półtora – doszedł go głos z salonu.

Do jednej z pięknych śnieżnobiałych porcelanowych filiżanek i prawdopodobnie równie starych co trzymana przez niego łyżeczka, nasypał półtora miarki pachnącej kawy. Do drugiej wsypał dwie łyżeczki i chwilę się zastanowiwszy dosypał jeszcze małą ilość mieszczącą się na czubku. Zalał filiżanki

gorącą wodą. Ustawił je na srebrzonej tacce wraz z dzbanuszką podgrzanego mleka i cukiernicą, pochodzącymi z tego samego kompletu co filiżanki.

– Zrobisz sobie przerwę na kawę? – Wszedł do salonu.

Olga oderwała wzrok od kartek papieru luzem porozkładanych na stoliku.

– Co to za okazja?

– Żadna, chociaż...

– Tak.

– Chciałem uczcić, twój ostatni wiersz.

Olga odłożyła pióro, zadowolona z usłyszonej odpowiedzi.

– Podobał ci się?

– Owszem. – Zachary postawił przed żoną filiżankę z kawą. Po stronie drugiego krzesła postawił drugą. – Jedną łyżeczkę? Jak zwykle? – Chwycił za cukiernicę.

– Tak poproszę.

– I mleczka?

Olga przytaknęła skinięciem głowy. – Owszem? Tylko tyle? Nie masz nic więcej do powiedzenia? – Olga udała oburzenie.

– A co ja mogę powiedzieć? Wiesz przecież, że jestem laikiem. Nie znam się na poezji, ale ostatnie dzieło zrobiło wrażenie, nawet na mnie.

– Myślałam, że wszystkie moje wiersze robią na tobie wrażenie.

– Ależ oczywiście – Zachary szybko przytaknął. – Wiesz przecież, ale „Zefir uczuć”, jest wyjątkowy.

Olga zastanowiła się. Pomieszała kawę i odkładając łyżeczkę na spodku odparła. – Też tak myślę. Rzeczywiście jest wyjątkowy.

– Wyślesz go do gazety?

Jeden z tygodników umieszczał czasem wiersze Olgi. Miała nawet z nimi stosowną umowę, co dawało jej całkiem przyzwoity dochód.

– Nie. Zamierzam go umieścić w następnym tomiku.

– Taki rarytas. Prawda?

– No, tak myślę. – Zaśmiała się nieśmiało. Wzięła łyżeczek ciemnego napoju. – Yym. Jaka dobra. Co to za kawa?

– Kupiłem ją w takiej małej prywatnej palarni. Zdałem się na słowo właściciela i chyba dobrze zrobiłem.

– Pyszna. Jeszcze takiej nie piłam.

– Nie to, co te sklepowe marki. Nawet najdroższe.

– Racja. Musisz ją teraz zawsze kupować.

– Jest trochę droga, ale myślę, że możemy sobie pozwolić na tę odrobinę luksusu.

– Chyba tak.

Obydwoje jeszcze delektowali się ciepłym i aromatycznym napojem.

– Idziesz dziś do teatru?

– Tak. Zaraz wychodzę.

– Tak szybko?

– Dzisiaj grają spektakl, w którym występuje dużo osób.

Będzie sporo pracy.

* * *

Miskowski jechał w kierunku niejakich Nikiejek, którego kilka domów majaczyło na horyzoncie. Powoli omijał dziury i wyboje w żwirowej drodze. Dotarł do białej mocno zdezelowanej i częściowo przerdzawiałej tablicy z nazwą miejscowości jednocześnie, zgodnie z dawno już zmienionymi przepisami, oznajmiającymi strefę zabudowaną. Zaśmiał się w duchu.

Chyba powinienem zwolnić.

Wioska okazała się jeszcze mniejsza, niż opuszczona przez niego przed kilkoma minutami. Mijał pierwsze zabudowania i zastanawiał się gdzie może znaleźć córkę Buszaka, a właściwie sprzęt, którego poszukiwał. Przejechał kilkaset metrów i wioska się kończyła, a droga, która przez nią wiodła zmieniła się w polną dróżkę wiodącą gdzieś w otchłań pól i łąk, jakie się przed nim rozpościerały. Zawrócił samochód i jechał z powrotem. Zatrzymał się przy zabudowaniach wyglądających na największe w całej wsi, więc wydało mu się, że właśnie w nich musi być umiejscowiona produkcja pieczarek. Wyszedł z pojazdu. Wziął swoją teczkę z dokumentami i skierował się do domu mieszkalnego.

Wszędzie panoszyły się kury i gęsi. Stąpał ostrożnie by nie wdepnąć swoimi eleganckimi półbutami w oznaki ich licznej obecności. Ledwo dotarł do domku, a drzwi same się otworzyły.

– A czegoś? – spytała sucha starowinka.

– Jestem Ludwik Miskowski.

Kobieta stała i przyglądała się przybyszowi, bez słowa ruszając nieustannie ustami jakby coś żuła.

– Córkę pana Buszaka szukam. Karola Buszaka.

– Ireeena! – kobiecina wydarła się nagle takim głosem, iż Miszkowski pomyślał, że nawet Oskar z „Błaszanego bębena” mógłby jej pozazdrościć tonacji i odruchowo spojrzął na swój samochód, czy aby szyby nie popękały. – Ten panoczek przyjechał co ojciec dzwonił!

Z małej obórki wyszła jakaś znacznie młodsza kobieta w roboczym fartuchu.

– Czego pan szuka?

– Linii do produkcji pieczarek. – Miszkowski skierował się ku niejakiej Irenie.

– A z jakiego powodu?

– Pani ojciec, jak miemam, nie spłaca rat kredytu, który zaciągnął na wyposażenie pieczarkarni.

– Więc? – Młoda kobieta patrzyła na Miszkowskiego bezczelnym wzrokiem.

– Przyszedłem sprawdzić i udokumentować stan własności banku.

– Ja nic nie wiem. Ja kredytu nie brałam i ani bank, ani pan nie mają prawa wpychać tu swojego nosa.

– Myli się pani. Sprzęt jest własnością banku. Przynajmniej w kwocie w jakiej pozostaje kredyt do spłacenia, a że żadna rata nie została jeszcze zapłacona to sama pani rozumie...

– A dokumenty? Ma pan jakieś ze sobą? To niech pan tam zajrzy i proszę mi powiedzieć, czy jest tam napisane, że ja mam jakieś zaległości. Czy ja brałam kredyt?

Będą kłopoty – pomyślał Miskowski.

– Proszę Pani – westchnął ciężko. – Wiem w co pani ze mną gra. To, że nie pani brała kredyt nie czyni pani wolnej od tej sprawy.

– A to niby czemu?

– Już mówiłem. Wiem, że sprzęt jest tutaj.

– Niby skąd?

– Mam świadków.

– Niby kogo?

– Teraz nie mogę tego zdradzić, ale jak zajdzie potrzeba to zeznam w sądzie.

Kobieta zaśmiała się głośno.

– Myśli pan? Nikt w sądzie zeznawać nie będzie.

– Nie pani pierwsza taka pewna swego. – Miskowski zajrzał do dokumentów. – Niejaka Irena Pawluk, córka Karola Buszaka, wraz ze swoim mężem Leszkiem Pawlukiem są głównymi żyrantami owego kredytu. Czyż tak?

– A co to pana obchodzi? – Kobieta zbiła się stropu.

Co za durni ludzie?

– Ano to, że jak nie z pani ojca to z pani majątku bank odzyska kapitał kredytu wraz z odsetkami i wszystkimi dodatkowymi opłatami. Chcę powiedzieć, że nie opłaca się państwu wchodzić na ścieżkę wojenną z bankiem. Jesteście na przegranej pozycji.

– Pan nam grozi?

– Nie. Tylko ostrzegam. – Miszkowski triumfował.

Kobieta założyła ręce. – Ma pan szczęście, że mojego męża tu nie ma. Pokazałby panu gdzie raki zimują.

– Myślałem, że wszystko polubownie załatwimy. Nie chciałem z państwem walczyć, ale sama pani wybrała drogę. Pani i pani ojciec jesteście... – komornik nie dokończył. – Jeszcze się spotkamy.

Miszkowski obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku swego samochodu. Pod podeszwą poczuł coś miękkiego. Spojrzał w dół. To była gęsia kupa. Za plecami usłyszał śmiech.

– Co za wiocha! – Powiedział głośno, tak aby został usłyszanym, ale jego słowa nie pozostały bez odpowiedzi.

– Słyszała babcia? Wielki pan z miasta. Nie podoba się mu u nas.

– A poszczuj psami, psubrata! – zapiszczała stara kobieta.

* * *

W teatrze panował harmider wynikły z przygotowań do pierwszego spektaklu po wakacyjnej przerwie. Miał to być właściwie musical, który okazał się hitem poprzedniego sezonu. W kuluarach kręciło się mnóstwo ludzi, od techników, kostiumologów, charakteryzatorów, operatorów światła, dźwięku i wielu innych ludzi z personelu pomocniczego począwszy poprzez tancerki i tancerzy, aż po aktorów skończywszy. Istny bałagan dla człowieka nieobytego z kuluarami.

Zachary kierował pracą charakteryzatorów. Zespół najpierw zajmował się tancerzami.

Aktorzy mieli być obsłużeni na końcu. Zresztą nawet niewielu z nich pofatygowało się, aby przyjść tak wcześnie. Manierą odtwórców głównych ról było przychodzenie na ostatnią chwilę jakby ich głównym celem było przyprawianie inspicjenta o ból głowy.

W charakteryzatorni roiło się od półnagich tancerek i tancerzy oczekujących na swoją kolej. Cześć z nich miała srebrzyste, a inni złociste stroje, a właściwie tylko dolną część trykotu. Nagie torsy i ramiona musiały być nieco pozłoczone lub posrebrzone odpowiednio do dolnej części stroju.

Na twarzach tancerek malowano odpowiednie makijaże nadające im nieco drapieżnego charakteru. Resztę stroju stanowiły tylko spódniczki. Piersi miały być osłonięte jedynie nowoczesnymi wzorami kwiatów namalowanymi bezpośrednio na ciele. Dawało to ciekawy efekt. Zdawało się, że baletnice wcale nie są pozbawione okrycia, a jednocześnie wzbudzały swym wyglądem lekką ekscytację. Charakteryzacja tylko dawała tego efektu. Zachary nie był wyjątkiem w tym względzie, chociaż widok nagich piersi w teatrze muzycznym nie był niczym niezwykłym.

– Co się tak przyglądasz?

– A nie, nic – odpowiedział nieco sfatygowany Zachary. Tak się zamyśliłem.

Po pracowni rozległ się lekki szmer uśmieszków i dogaduszek pod adresem Zacharego.

– Nigdy cycków nie widziałaś? – zagadnęła jedna z charakterzatek.

– Bardzo śmieszne – odparł Zachary i właśnie wziął się za makijaż na piersi siedzącej przed nim tancerki.

* * *

Miskowski doszedł do swego samochodu nie zważając zupełnie na ujadanie staruszki. W myślach podjął już decyzję, że użyje wszelkich możliwości jakie daje mu prawo aby wyegzekwować dług Buszaków. Nie lubił takich ludzi i nie miał wątpliwości, że nie mieli zamiaru spłacać kredytu już w momencie starania się o jego udzielenie.

Wsiadł do samochodu i ledwo ujechał kawałek drogi z głośników swego auta usłyszał dźwięk komórki. Dźwięk przypisany do jego żony. Nacisnął przycisk odbioru telefonu umiejscowiony na kierownicy

– Tak kochanie – odezwał się pierwszy.

– Gdzie jesteś? – usłyszał z głośnika.

– Na jakimś zadupiu.

– Pytam czy daleko?

– A czemu? Coś się stało?

– Trzeba młodego odebrać z przedszkola. Dzwonili, że w kuchni znaleziono jakieś bakterie i będą odkażać cały budynek.

– No to go odbierz?

– Nie dam rady. Jestem umówiona u kosmetyczki.

– To się odmów.

– Ale, proszę zrób coś. Muszę sobie zrobić pazurki na naszą rocznicę. – Miskowskiego doszło z głośnika intymne mruczenie. – Kocurku.

Do świadomości Ludwika dotarło, że właśnie dzisiaj mija ich kolejna rocznica, jak się poznali i tego co wówczas między nimi zaszło i że zawsze świętowali owo wydarzenie w mniej lub bardziej podobny sposób. Najpierw kolacja, świece i te sprawy, a jak młody pójdzie spać to...

– Nie dam rady. Jestem daleko. Zresztą muszę coś jeszcze załatwić.

– Ależ kotku. – Usłyszał bardzo intymny głos.

– Przykro mi, ale jestem w pracy. Nie jestem w stanie odebrać młodego co najmniej przed upływem dwóch godzin, zresztą to ty, a nie twoje pazurki będą dla mnie najważniejsze dziś wieczorem. – Miauknął do słuchawki

– Nie będzie pazurków, to może też nie będzie tego czego się spodziewasz – odpowiedziała poważnym tonem.

Te słowa zelektryzowały Ludwika Miskowskiego. Miał wręcz bzika na punkcie żony, a właściwie na doznaniach, które mu zapewniała. Nie należał do świętych i w przeszłości miał kilka związków, ale od czasu jak spotkał Elę, nawet nie pomy-

ślał o żadnym skoku w bok. Bynajmniej nie z powodów moralnych lecz ze strachu, iż mógłby utracić to co miał.

– Elu. Jestem w pracy. Rozumiesz? – powiedział łagodnie.

– Twój wybór. Pojedziesz po Dawidka, czy ja mam iść? – zadała pytanie wymownym tonem.

– Na pewno nie uda mi się wcześniej niż za godzinę. Jestem poza miastem i obawiam się, że w mieście są korki.

W słuchawce panowała cisza.

– Elu, Eluniu! Jesteś tam? – Miskowski zatrzymał samochód.

– Jestem – odezwał się głos żony. – Myślę.

– Tak? – Odpowiedział Miskowski, dając znać, że czeka na dalszy ciąg, choć w duchu pomyślał sobie, że ten rodzaj aktywności nie należy do atutów jego żony.

– Mogę odebrać juniora, ale pojedę z nim do centrum, prosto do salonu urody. Wiesz gdzie?

– Tam gdzie zawsze?

– Tak. Tam odbierzesz Dawidka, ale bądź jak najszybciej. Mam umówioną wizytę za czterdzieści minut. Mogę trochę przeciągnąć ale nie za długo.

– Dobra. W godzinę powinienem się wyrobić.

– No to pa?

– Pa.

Ruszył przed siebie ale dodał gazu, nie zważając już tak bardzo na dziury w drodze. Jednak zauważył, że maska samochodu pochyla się lekko na prawą stronę. Zatrzymał auto. Wyszedł, obszedł je dookoła. Nie chciał, by było prawdą to co zauważył. Przednie prawe koło było pozbawione powietrza.

Kicha. I to w takim momencie! – Pomyślał z desperacją. – *Akurat wtedy gdy się spieszę.*

Mimo to podszedł do bagażnika, by wyjąć lewarek i klucz. Postanowił działać systematycznie, ale gdy jego wzrok powędrował ku niedalekiej tablicy z napisem Nikiejki, dał upust swojej rozpacz. Rzucił kluczem o drogę z całym impetem, a z jego ust wydobyły się przekleństwa.

Gdy się uspokoił wyciągnął koło zapasowe. Poturlał je ku przodowi. Podstawił lewarek i zaczął kręcić. Auto powoli unosiło się do góry.

* * *

Pisanie nie szło dzisiaj Oldze najlepiej. Odczuwała lekką melancholię, a właściwie bliżej nieokreślony niepokój. Kilku-

krotnie odkładała pióro. Podchodziła do okna jakby chciała sprawdzić co się dzieje na zewnątrz. Wracała. Ponownie brała pióro do ręki. Zapisywała parę słów może nawet wersetów, ale wszystko wydawało się jej nie takie jak trzeba. Złapała się na tym, że ciągle zerka na wyświetlacz komórki, który swą uporczywą czernią oznaczał, że nikt nie próbuje się do niej dozwonić. Uświadomiła sobie, że właśnie owo milczenie jest źródłem jej niepokoju.

Powinien przecież zadzwonić. – Czekwała na wiadomość od Zacharego. Ale czego właściwie oczekiwała? Co miałby jej powiedzieć? – *Przecież jest w pracy, w teatrze. Zapewne nie ma czasu... zadzwonić... do mnie.*

Poszła do kuchni przygotować sobie coś lekkiego do zjedzenia. Po kilku minutach siadła na kanapie w salonie. Kolacja nie była w jej domu czasem małżeńskich spotkań, podczas których można było omówić miniony dzień, pośmiać się, przytulić do partnera, móc liczyć na pocałunek. Kolacje zazwyczaj jadała sama czekając, aż Zachary wróci z teatru późnym wieczorem.

Odruchowo włączyła telewizor, ale nie śledziła toczącej się na szklanym ekranie debaty. Nie zdobyła się nawet, aby

poszukać czegoś bardziej interesującego. Jej myśli krążyły po zupełnie innych obszarach.

Rozmyślania przerwała uporczywa melodia. Spojrzała na telewizor, ale to nie stamtąd dochodził ją ów dźwięk.

Komórka.

Skoczyła do telefonu

– Tak. – Odebrała rozmowę nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Witaj córeczko – usłyszała głos matki.

Jej ożywienie wyraźnie osłabło. Nie dlatego, że miałaby jakikolwiek uraz do matki, ale dlatego, że spodziewała się usłyszeć głos kogoś innego.

– Tak. Wszystko w porządku... Zachary jest w teatrze... Nie, jeszcze nie wrócił... Nie wiem dlaczego, ale chyba ma dzisiaj dużo pracy... Ależ mam. To u niego normalne. Taki zawód... Przecież go nie tłumaczę... Dobrze przyjadę jutro na kawę... Pa. Do jutra. – Rozłączyła rozmowę.

Telefon matki raczej jej nie pomógł.

Rozdział 2

W biurze byli już wszyscy pracownicy, co zresztą nie było niczym nadzwyczajnym. Ludwik spóźniał się zawsze gdy mógł sobie na to pozwolić. Szczególnie jeśli chodziło o swoje biuro. Lubił przychodzić ostatni zwłaszcza, iż owa maniera dodawała mu poczucia ważności. Chciał dać szansę swoim pracownikom, aby nie czuli się skrepowani własnym spóźnieniem. Komunikacja miejska i korki były często nie do przewidzenia. Zresztą nie był szefem, który wymagałby bezsensownego grzania foteli biurowych. Nie zniósłby markowania pracy. Istotnym było, aby każdy sumiennie wykonywał swoją pracę. I pod tym kontem dokonywał selekcji pracowników i obecny stan całkiem go zadowalał.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry – odpowiedzieli wszyscy.
- Co dzisiaj mamy? – Zatrzymał się przy biurku sekretarki.

– Dwie egzekucje. Ochroniarzy zamówiłam na dziesiątą.
– Była przygotowana.

– Świetnie.

Miszkowski uśmiechnął się do swojej pracownicy i skierował się do swojego gabinetu, który czekał na niego z otwartymi drzwiami. Zanim postawił teczkę na biurku dosłyszał odgłos młynka w ekspresie do kawy. Zanim zalogował się do włączonego już komputera, na biurku pojawiła się filiżanka z aromatycznym czarnym napojem oraz cukiernica i maleńki dzbanuszek z podgrzany mleczkiem.

– Rozpieszczasz mnie.

Miszkowski był zadowolony z codziennego rytuału, ale jeszcze bardziej cieszył się z oddanej pracownicy.

– Robię co do mnie należy. – Sekretarka odwzajemniła uśmiech kładąc jednocześnie świeżą prasę. Oraz duży plik dokumentów.

– Co to? – Miszkowski spytał retorycznie.

– Jak zwykle. Postanowienia sądowe, klauzule wykonalności, tytuły egzekucyjne oraz oczywiście korespondencja od klientów.

Miszkowski spojrzał wymownie na sekretarkę.

– Dzisiejsza?

– Nie. To już zostało posegregowane przez aplikanta. Dzisiejsza będzie jutro.

Sekretarka przesunęła starannie ułożony kopczyk, by uwiarygodnić swoje słowa. Pod prasą znajdowały się różnokolorowe papierowe teczki. Zgodnie z zasadą, jaką Miskowski wprowadził w swoim biurze, aplikant umieszczał odpowiednio zakwalifikowaną korespondencję do stosownych teczek.

Żółta mieściła głównie prośby dłużników o zaniechanie egzekucji komorniczej. Obszernie opisywały sytuację dłużnika, rodziny oraz najczęściej apokaliptyczne wizje ich przyszłości. Ta teczka nie interesowała Miskowskiego zupełnie w odróżnieniu od pozostałych.

Niebieska zawierała rzeczowe wyjaśnienia jakby dłużnicy liczyli na wyrozumiałość komornika, jednocześnie chcąc się wytłumaczyć z zaistniałej sytuacji. Zielona zawierała propozycje ugody klientów sądzących, że komornik jest w mocy zmienić postanowienie sądu. Obie teczki były o tyle użyteczne, że mało roztropni klienci postępowań egzekucyjnych często, czy to w dobrej wierze, czy też nieświadomie, czynili ze swych listów cenne źródła informacji o posiadanym majątku lub dodatkowych źródłach dochodu.

Do czerwonej teczki trafiały złorzeczenia, czy wręcz groźby. Często anonimowe, chociaż kontekst listu zazwyczaj pozwalał zidentyfikować autora i to czyniło ją również użyteczną. W ostateczności można było użyć tych materiałów do subtelnej szantażu wobec dłużników jako dowód na groźby karalne wobec funkcjonariusza państwowego. Często było to na tyle skuteczne, że delikwent ostatecznie poddawał się wymiarowi sprawiedliwości z podkulonym ogonem.

– To lubię najbardziej. – Sięgnął po czerwoną teczkę. Widząc kwaśną minę sekretarki dodał jakby się tłumacząc: – Taki korporacyjny masochizm.

* * *

– Co ty w nim widzisz? – spytała starsza kobieta przynosząc serwis z kawą do salonu.

– Ależ mam – odpowiedziała Olga ze wzburzeniem. – To mój mąż.

Matka Olgi tylko westchnęła ciężko. – Ze śmietanką? – Odstawiając dzbanek obok pełnych już filiżanek.

Olga chwyciła za mały dzbanuszek, aby wyręczyć matkę. Nalała śmietanki do obu filiżanek. Odstawiła ją. Wzięła do ręki cukiernicę.

– Znajdzie się trochę cukru trzcinowego albo chociaż brązowego?

– Też mi coś? Te wasze fantasmagorie – odpowiedziała matka z lekko oburzonym tonem i sama wyspała do swojej filiżanki dwie słuszne łyżeczki tradycyjnego białego kryształu. Zamieszała jednak subtelnie, aby nie było słychać dźwięku łyżeczki odbijającej się o ścianki porcelany co uważała za wielki nietakt.

– Cukier trzcinowy jest zdrowszy.

Matka znowu spojrzała na córkę wymownie. – Janeczko, kochanie. Czy znajdzie się trochę brązowego cukru? – Powiedziała podniesionym głosem w stronę kuchni.

– Już niosę – do salonu doszedł kobiecy głos, a tuż za nim wyłoniła się sylwetka wysokiej i chudej jak tyczka kobiety w średnim wieku. – Dla panny Oleńki zawsze się znajdzie.

Kobieta postawiła drugą cukiernicę na stoliku.

– Dzień dobry pani. – Olga przywitała się uprzejmie. Lubiała tą chudą kobietę, za jej ciepło, dobroć i miłe usposobienie zawsze gotową służyć pomocą.

– Dzień dobry. Dzień dobry. Jak dobrze panienkę widzieć.

– Janeczko. Przecież Olga jest zamężna – pani domu odezwała się z wyrzutem w głosie.

– Wiem, ale ja tak z przyzwyczajenia. – Janeczka stała przy stoliku i wydawała się szczęśliwa samym faktem, że ma możliwość popatrzeć na Olgę.

Matka Olgi wywinęła oczami do góry. Nie uważała swej pomocy domowej za okaz zbytnej roztropności, ale ceniła ją jako dobrą kucharkę oraz za uczciwość jaką się odznaczała w odróżnieniu od jej poprzedniczek, które siłą rzeczy często się zmieniały. Zatem, gdy przed laty do ich domu trafiła obecna gosposia, została do obecnej chwili i nawet traktowano ją prawie jak rodzinę.

– Ale Olunia wypiękniata! – Janeczka uściskała Olgę. – To chyba małżeństwo tak służy – zachichotała po swoich słowach ukrywając usta w dłoniach, jakby powiedziała coś niestosownego.

Olga uśmiechnęła się sympatycznie, ale w jej uśmiechu nie było radości.

– To ja już pójdę. – Pomoc domowa wskazała ręką w kierunku kuchni. – Obiad robię. Zostanie panienka?

– Nie, chyba nie – odpowiedziała – ale dziękuję.

– Najlepszego życzę – dodała jeszcze Janeczka i poszła do kuchni.

– To jak tam w tym twoim małżeństwie? – zapytała matka odstawiając filiżankę po wzięciu łyżeczki kawy.

– Czuję się samotna? – Olga spuściła wzrok.

– Nic dziwnego. To nie była dobra partia dla ciebie.

– Ależ mamo.

– No co? Jestem pewna, że nie spędzacie wspólnie wiele czasu.

– Ty też nie cały dzień widzisz się z ojcem.

– Ha! – zachnęła się matka Olgi. – Też mi porównanie. Ojciec, moja droga, jest wziętym adwokatem. Zarabia na życie, na dom, na rodzinę. Ma prawdziwą pracę.

– Zachary też ma prawdziwą pracę.

– Mój boże. Cóż to za praca? Mężczyzna kosmetyczką. – Matka wzniosła oczy ku niebu.

– Zachary jest charakterizatorem, nie kosmetyczką – zaproponowała Olga.

– Jak zwał tak zwał, ale zajmuje się malowaniem twarzy. To nie jest właściwe zajęcie dla mężczyzny. Nawet nie zarobi na jej utrzymanie. Gdyby nie ojciec...

– Ojciec też mógłby być bardziej wyrozumiały.

– Przecież proponował mu nowe możliwości. Miał zrobić tylko odpowiednie studia.

– Ale on, robi to co lubi. Dlaczego miałby rezygnować?

– Z miłości do ciebie kochana.

– Przecież on mnie kocha.

– Miłość wyraża się również troską o kochaną osobę. A ten twój Zachary troszczy się jedynie o to, co lubi, jak sama powiedziałaś.

– Wcale nie. Troszczy się o mnie.

– Oczywiście. Wręcz emanujesz szczęściem.

Olga poczuła małą igłę wbitą w serce.

– Gdzie on teraz jest? – kontynuowała matka.

– W domu. Śpi.

Matka Olgi odpowiednią miną okazała co o tym myśli. – Też mi coś! Mąż i głowa rodziny. Śpi o tej porze. – Spojrzała na zegarek. – Toż to niebawem południe będzie.

– Późno z pracy wrócił. Właściwie nad ranem.

– Ciekawe co on tam robił do rana... – matka nie dawała za wygrane – ... z tancerkami?

Miszkowski między jedną, a drugą egzekucją poszedł na mały posiłek do maleńkiej restauracyjki w okolicy sądu rejonowego. Zamówił flądre z frytkami i surówką z białej kapusty. Zanim obsługa przyniosła obiad wypił pół małej szklanki piwa. Był bardzo spragniony. Gdy kończył rybę dostyszał znajomy głos swego kolegi po fachu.

– Ludwik?! Cześć brachu.

Miszkowski obrócił głowę w kierunku głosu.

– Cześć Rychu – odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

Miszkowski lubił swego kolegę. Też był komornikiem, a ich znajomość sięgała jeszcze czasów studenckich. Zdawało się, że obaj dobrze się czuli w swoim towarzystwie, jednak nie utrzymywali stałego kontaktu. Ryszard Kalicki był typem playboya, duszą towarzystwa, zawsze pewnym siebie człowiekiem, świetnie ubranym na każdą okazję. Teraz miał na sobie świetnie skrojoną granatową marynarkę sportową, wyglądającą zgodnie z obowiązującym kanonem, na nieco znoszoną, choć wcale taką nie była. Pod spodem miał czerwoną dopasowaną koszulę oczywiście wyłożoną na spodnie w modnym beżowym kolorze. Strój Kalickiego nie wskazywał na ubiór służbowy.

– Gdzie się wybierasz?

Kalicki usiadł przy stoliku. – Czy mogę prosić o kawę? – zawołał w kierunku baru.

Zapewne większość klientów musiałaby nieco poczekać na reakcje obsługi jeśli w ogóle nie okazałaby obrazy. Oczywiście nic takiego nie mogło spotkać Kalickiego. W jego głosie było coś tak niezwykłego, sympatycznego, że natychmiast doczekał się odpowiedzi.

– Z mlekiem czy czarną?

– Będę wdzięczny za mocną i dużą?

– Czyli czarną?

– Tak, poproszę.

– Miło cię spotkać – Kalicki zagadnął Miskowskiego.

– Mnie również. Zatem dokąd się wybierasz? – Miskowski ponowił pytanie.

– Raczej wracam do domu. Wczoraj poznałem kogoś.

Miskowski wcale się nie zdziwił. Spojrzał na zegarek.

– No trochę się zabawiłeś. – Uśmiechnął się. – Pewnie była tego warta.

W zasadzie wiedział, że to zapewne owej szczęściarze zależało bardziej niż Ryškowi.

– No wiesz... raczej był. – Rysiek uniósł wzrok ku niebu niczym niewiniątko.

Miskowski przypominał sobie jak Ryškowi na studiach wchodziły do łóżka zarówno dziewczyny jak i chłopcy, a nie rzadko jedni i drudzy, nawet w tym samym czasie. Co prawda Ludwik nie gustował w seksie z przedstawicielami tej samej płci ale zupełnie nie przeszkadzało mu to u innych. Pamiętał jak obserwował w czasach studenckich poczynania swego kolegi z czystego zainteresowania, w celach poznawczych. Był przekonany, że Rysiek swoją osobowością i charakterem potrafił uwieść każdego kolegę, który miał w sobie choć namiastkę pociągu do męskiej płci do tego stopnia, że można by stwierdzić, że to właśnie on był nagabywany przez innych.

– Widzę, że korzystasz z pełni życia jak w czasach studenckich.

– No cóż. Bardzo lubię ludzi. Lubię rozmawiać. Szukam ich towarzystwa, więc często dochodzi do różnych sytuacji. Chyba nie masz mi za złe, że płęć nie robi mi różnicy.

– Oczywiście, że nie. Przecież nigdy mi to nie przeszkadzało.

– Wiem – przytaknął Rysiek. – Zawsze o tym wiedziałem choć byłeś zatwardziałym heterykiem.

– Jak sam widzisz. Ludzie są różni.

– A może coś się zmieniło w tej kwestii? – Delikatnie objął dłoń Ludwika.

– Przepraszam. – Nagle pojawił się młody kelner obok ich stolika. Wydawał się nieco speszony.

Ludwik szybko cofnął swoją dłoń. Czuł jak się czerwieni. Zauważył jednak, że kelner był jeszcze bardziej zakłopotany. Nie wiedział gdzie ma patrzeć.

– Pańska kawa. – Kelner nieco niezdarnie postawił sporą filiżankę na talerzyku i szybko się oddalił.

– Chyba zawstydziliśmy chłopaka? – Rysiek powiódł wzrokiem za oddalającym się młodzieńcem i mimo wszystko wsypał odrobinę cukru do filiżanki.

– Mów za siebie. To twoja sprawka.

– Oj tam, oj tam. Nadal jesteś taki poprawny?

– Nie zawsze i nie we wszystkich sprawach.

– A właśnie. Co tam u Eli?

– Dziękuję. W porządku.

Rysiek przyjrzał się koledze.

– Coś mi się wydaje, że nie wszystko jest OK.

– Niby czemu tak myślisz?

– Zawsze dużo mówiłeś o żonie, zawsze tylko same superlatywy, jak się spotykaliśmy. Tym razem nie wyrzekłeś o niej ani słowa... – Ryszard Kalicki zawiesił głos.

Ludwik zastanowił się. – *Zaszła bowiem mała zmiana* – pomyślał.

– No wykrztuś to z siebie. Znudziła ci się, opatrzyła? – Rysiek nalegał. – To się zdarza. Zawsze twierdziłem, że stałe związki zabijają miłość.

– To nie to.

Rysiek zrobił zdumioną minę.

– To co? Puściła cię kantem?

– Nie. – Ludwik szybko zaprzeczył. Czuł, że kolega, który skacze z kwiatka na kwiatek, nie jest go w stanie zrozumieć, który jest tak szaleńczo zakochany w swojej żonie. Jednak Rysiek najwyraźniej czekał na odpowiedź. – Ostatnio trochę się na mnie pogniewała.

– Miała powód? – Rysiek zdawał się być żywo zainteresowany i jednocześnie wzbudzał zaufanie.

– Z jej punktu widzenia, tak.

– To zrób coś, by ją udobruchać.

– Łatwo mówić. – Ludwik już dawno zapewnił swojej rodzinie wysoki standard życia tak więc drobne upominki nie

zawsze spełniały oczekiwania Elżbiety. Wiedział też, że jego żona jest próżna, ale na plewy się nie złapie. – Niedługo mamy piątą rocznicę ślubu. Pomyślałem, że zabiorę ją na luksusowe wczasy.

– Bali, tak?

– Raczej myślę o czymś w Europie.

– Europie?

Tym pytaniem Kalicki dał do zrozumienia, że może na stosunkach międzyludzkich się zna, ale zapewne nie jest konserwem prawdziwych przyjemności.

– Owszem. Zapewniam cię, że w Europie można zaznać lepszego luksusu niż na niejednej z tak zwanych rajskich wysp.

Rysiek zrobił zdziwioną minę. – Skoro tak mówisz, to zrób to.

– No i tu są pewne przeszkody.

– Jakie?

– Trochę to kosztuje.

– Ile? – Rysiek był naprawdę zainteresowany.

– Trzydzieści tysięcy.

Kalicki patrzył na kolegę. Najwyraźniej ciężko myślał co ma powiedzieć.

– Chyba to nie jest wielki problem?

– Euro. – Dodał Miszkowski.

– *Really?* – Oczy Kalickiego najwyraźniej powiększyły się.

– *Of course.* – Ludwik odczuł lekką satysfakcję, iż udało mu się zaszokować kolegę.

– Sto czterdzieści tysięcy złotych? Za jaki czas?

– Dwa tygodnie i prawie sto czterdzieści tysięcy, po aktualnym kursie.

– No toż mnie zadziwił? Co to za miejsce?

– Włoskie wybrzeże, apartament w skale z otwartym widokiem na morze, pełne lodówki, służba, wyszukane SPA, itp. W dole prywatna plaża i przystań, motorówka, skutery wodne do wyłącznej dyspozycji. Jacht z załogą na każde zawołanie, ale dodatkowo płatny.

– No, no. Wiem, że to nieładnie zabrzmiało, ale nie spodziewałem się tego po tobie.

Ludwik zaśmiał się. – Ja też. Ale jak ci mówiłem chciałem to zrobić dla Eli.

– Musisz ją bardzo kochać – Kalicki stwierdził z uznaniem – a skoro tak, to chyba w ostateczności możesz sobie pozwolić na ten wydatek.

– Też tak myślałem. Jednak zależy mi, abyśmy pojechali jak najszybciej, a tym czasem pojawiły się pewne trudności.

– Tak? – Kalicki czekał na dalszy ciąg.

– Nie mam wolnej gotówki. Miałem mieć kilka intratnych egzekucji, ale zaistniały pewne okoliczności i się odwleką.

– I to jest dla ciebie przeszkodą?

– No tak. – Miskowski czuł się bezradny.

– To zrób coś.

– Co?

– Poszukaj kogoś, kto z imienia i nazwiska odpowiadałby twoim dłużnikom i zlicytuj ich majątek.

– Tak po prosu?

– Oczywiście. Co za problem?

– No taki – Miskowski zawahał się – że to trochę niemoralne.

Kalicki zaśmiał się. – Daj spokój. Niemoralne. To twoje pieniądze – dodał poważnie – pomyśl o sobie, o swoim małżeństwie. Jak już będzie po wszystkim powiesz, że został popełniony błąd formalny. Prawo nie będzie cię za to ścigać. Oddasz delikwentowi co zostanie, a jak zlicytujesz właściwego dłużnika oddasz i resztę. Ty zaś swoją kasę będziesz miał już, teraz. I wykupisz te swoje luksusowe wczasy. Zyskasz w oczach żony. Może nawet ocalisz małżeństwo.

* * *

– Wypałeś się? – Olga dostrzegła męża wychodzącego z sypialni.

– Tak, dziękuję. – Zachary przetarł oczy. – Która godzina?

– Wpół do pierwszej.

– Trochę zasnęłam.

– Niewątpliwie. O której wrócisz? – Zapytała Olga swoim melancholijnym tonem.

Zachary przeszedł przez salon i usiadł na fotelu naprzeciw żony, trzymającej w ręku jakąś powieść.

– Nie wiem?

Olga przyglądała się mężowi. – Nad ranem.

– Przepraszam. Wczorajsza inauguracja bardzo się udała. Pełna widownia.

– I to był powód abyś został tam na całą noc?

Zachary nie wiedział co powiedzieć. – Trochę wypiliśmy i tak zeszło. – Najwyraźniej był zmęczony.

Wiedział jednak co Olga ma na myśli. Przypomniał sobie pewien wieczór w teatrze. Po jednej z udanych premier. Wszyscy świętowali. Zachary pomagał artystom zmywać makijaże. Ze wszystkich stron lał się alkohol. Gdy lekko podchmielony

zajął się Arlettą, główną gwiazdą teatru doszło do typowej rozmowy i żartów podszytych erotycznymi aluzjami. Potem zajął się pozostałymi aktorami. W międzyczasie wszyscy dobrze się bawili. Gdy już przyjęcie się kończyło i wszyscy zaczęli się rozchodzić Zachary poszedł do charakteryzatorni, by ubrać kurtkę i tak jak wszyscy iść do domu. Zastał tam Arlettę. Czekająca na niego w nietypowej pozie. Prawie rozneglizowana.

– Co tutaj robisz?

Wstała. – A jak myślisz?

Zachary stał zahipnotyzowany.

Aktorka podeszła do swego kolegi z pracy. – Masz ochotę na małe co nieco? – Wyszeptała bezceremonialnie. Wyciągnęła głowę i pocałowała Zacharego w szyję. Nie było to niczym nowym, obydwójce już niejednokrotnie uprawiali seks. Zachary nigdy od niego nie stronił i wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję.

– Daj spokój. Nie mogę. – Odsunął koleżankę na długość ramion.

– Dlaczego?

– Jestem żonaty. Od trzech tygodni.

– I co z tego?

– Jak to co? Kocham swoją żonę.

Arletta zaśmiała się. – A kto ci każe jej nie kochać? Tu chodzi o seks. Fizyczną potrzebę. Jak zawsze.

Stali parząc na siebie.

– Nie mów, że żona ci wystarczy?

– Skąd wiesz, że nie?

Dystans wyraźnie się zmniejszył.

– Bo cię znam. Zresztą nie wątpię, że kochasz swoją żonę, ale wątpię, że ci wystarcza. Myślisz, że nie widzę jak wodzisz oczami za skromnie ubranymi tancerkami.

– Pożądać, a ulec to co innego.

– Czyżby?

Zachary patrzył koleżance prosto w oczy. Czuł jak wbrew sobie rozluźniał uścisk utrzymujący Arlettę na odległość. Ponownie pocałowała Zacharego w szyję. Pocałunek był namiętny, ciepły. Jego ciało przeszło uczucie żądz. Nie mógł się oprzeć. Odwzajemnił pocałunek w głowę, w czoło, w oczy, aż ich usta spotkały się w dzikim pożądaniu. Obydwoje ogarnęło szaleństwo. Świat wirował. Nic się teraz nie liczyło. Niemal nieświadomie w miłosnym amoku pozbyli się ubrań. Nagle to szaleństwo zostało przerwane przez nieoczekiwane skrzypnięcie drzwi do charakterystorni. Nic sobie z tego nie robili. Wszyscy pracownicy teatru doskonale znali wszelkie konfigu-

racje do jakich dochodziło w ich instytucji. Niejednokrotnie ktoś się napotykał na jakąś parę tak, że nikogo nie dziwił ów widok. Zawsze tylko postronny obserwator wycofywał się ze zrozumieniem. Tym razem ktoś najwidoczniej im się przyglądał.

– Co jest? – odezwał się Zachary nie przerywając swoich czynności.

Nikt nie odpowiedział, jednak nadal stał w drzwiach. Z Arletty nagle uleciała cała namiętność. Patrzyła z przerażeniem w kierunku drzwi. Zachary zmusił się, by również spojrzeć w tym kierunku, choć było mu ciężko. Właśnie dochodził. Nagle całe podniecenie go opuściło. W drzwiach stała Olga.

Skąd ona się tu wzięła? – Stał przed nią nagi z opuszczonymi gatkami, zawstydzony, że przyłapała go żona, że ją zdradził i to w tak krótkim czasie po ślubie.

Zachary powrócił do rzeczywistości.

– Nie. Tamto się nie powtórzyło. Nigdy. – Rzeczywiście tak było. Po tym co przeszedł, co przeszli oboje po jego skoku w bok. Olga wybaczyła i Zachary stał się przykładowym mężem, mimo, iż chuć często burzyła mu się w żyłach. Wyszło to nawet z korzyścią dla małżonków, których wzajemne pożycie znacznie zyskało na atrakcyjności.

* * *

Miszkowski w drodze do domu kupił kwiaty. Zatrzymał auto przed bramą do posesji. Gdy czekał, aż pięknie kute skrzydła bramy otworzą się wpuszczając gospodarza do domu poprawił fryzurę jakby czekało go ważne spotkanie. Myślał o Eli.

Czy już się udobruchała? Czy jej przeszło? Przecież nie może gniewać się wiecznie.

Wiedział, że tak czy inaczej minie jej i choć liczył, że nastąpi to raczej prędzej niż później to cała sytuacja podniecała go. Zalecał się do własnej żony. Jak dawniej, gdy nie byli jeszcze małżeństwem. Nawet czuł się młodziej.

Wjechał i nacisnął guzik automatycznego pilota. Brama wjazdowa zamykała się ponownie. Zatrzymał auto przed garażem. Jeszcze raz poprawił grzywkę i wyszedł z uśmiechem na twarzy oraz pięknym bukietem kwiatów w ręku. Podeszedł do drzwi. Wyjął klucze i przekręcił zamek. Zamknął drzwi za sobą. W domu panowała cisza.

– Dawid! – zawołał.

Cisza. Nikt się nie odzywał. Dawid lubił swego ojca i zazwyczaj syn szybko reagował na jego wołanie. Tym razem

nic się nie stało. Wszedł do salonu. Pusto. Do kuchni – to samo. Poszedł na górę do sypialni syna i ich własnej. Nikogo nie było. Dopadło go dziwne uczucie. Zazwyczaj zawsze gdy wracał z pracy, żona z synem oczekiwali jego powrotu. Jeśli z jakichś powodów miało ich nie być, wiedział o tym. Tym razem został zaskoczony. Wyciągnął komórkę i odszukał kontakt do Eli. Nie odbierała. Ponowił próbę, to samo.

Poszedł na dół. Bukiet został na komodzie w sypialni, zapomniany, gdyby miał świadomość zapewne czułby się niepotrzebnym.

Ludwik usiadł na sofie. Dom był pusty. Mimo, że pełen różnych bibelotów wydawał się szary, niezamieszany. Nie było Eli. Ludwikowi znacznie bardziej brakowało żony aniżeli syna.

* * *

Zachary nie czekał, aż przedstawienie się skończy. Jak tylko ucharakteryzował aktorów wyszedł do domu zostawiając swego współpracownika, by pomógł aktorom przy ich usuwaniu już po przedstawieniu.

Zdawał sobie sprawę, że swoją dawną wpadką z Arletką, przyłapany przez żonę, sprawił, że jego droga przez małżeństwo będzie jak stąpanie po lodzie. Nie było już miejsca na niejednoznaczne żarty. Musiał uważać na każde słowo i czyn, mając zwłaszcza na uwadze eteryczną osobowość Olgi. Był świadomy, że wczorajsza impreza w teatrze nadwątlila zaufanie żony.

Postanowił wracać do domu piechotą, by mieć czas na refleksję, podświadomie czuł, że jest to jedyna chwila, która da mu jakąś namiastkę wytchnienia. Chwila podczas której nie musi udowadniać, że kocha swoją żonę, że chce przy niej trwać, że skończył ze swoim dawnym podejściem do seksu.

Rozdział 3

Ludwik Miskowski siedział w swoim biurze. Jadł kanapkę kupioną w drodze do pracy i popijał kawą w zamyśleniu. Analizował ostatnie wydarzenia.

Ela wróciła poprzedniego dnia bardzo późno ze śpiącym dzieckiem na rękach. Nie reagowała na jego pytania, gdzie była. Bez słowa poszła rozebrać syna i położyć go do łóżka. Poszła spać z dzieckiem.

Ludwik spał sam, a właściwie próbował nie rozumiejąc co się dzieje. Całą noc dręczyły go pytania, nawet w chwilach niespokojnego snu. Nie mógł pojąć jak nieodbyta wizyta u manikiurzystki, może wywołać taką reakcję. Autentycznie cierpiał nie czując żony przy swoim boku.

Rano, gdy wstał, zajrzał do sypialni synka. Oboje spali. Zawołał żonę cichutko: – Ela, śpisz? – Nie doczekał się reakcji. Zamknął drzwi. Dokonał porannego rytuału z toaletą. Liczył, że zastanie Elę w kuchni jak już wyjdzie z łazienki, że będzie jak

zwykle krzątać się przygotowując śniadanie. Nie doczekał się. Nie czekała na niego świeżo wyprasowana koszula. Ela zawsze robiła to wieczorem poprzedniego dnia. Wyciągnął z szafy jakąś, która wyglądała najlepiej. Zawsze dbał o staranny ubiór. Posiedział jeszcze chwilę w kuchni wyszedł z domu nie doczekawszy się pobudki żony.

Siedząc za kierownicą swojego SUV'a rozmyślał o swoim małżeństwie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że musi coś zrobić aby, udobruchać Elę.

Gdy dotarł do biura po zdawkowym przywitaniu z sekretarką wszedł do swojego gabinetu. Jego wzrok padł na folder, który otrzymał od agenta biura podróży. Podszedł do ławy stojącej przy oknie. Wziął prospekt do ręki. Usiadł na miękkim fotelu i zaczął go przeglądać po raz któryś odczuwając coś w rodzaju niespełnionej nadziei.

Nagle znieruchomiał. Coś przeskoczyło w głowie Miszkowskiego i uśmiechnął się do własnej myśli.

Niech cię szlag Kalicki

Komornik wstał, schował folder do szuflady biurka. Spojrzał na plik dokumentów leżących na biurku. Usiadł i zaczął je powoli i metodycznie przeglądać. Nie znalazł tego co szukał.

– Pani Agato – zawołał sekretarkę.

Sekretarka natychmiast zjawiła się w gabinecie.

– Proszę przynieść akta wszystkich spraw jakie jeszcze nie zostały zakończone.

– Wszystkich?

– Tak. Chyba wyrażam się jasno.

Sekretarka odwróciła się na pięcie i wyszła ze zdziwioną miną.

Miszkowski wstał i zaczął niecierpliwie chodzić po swoim gabinecie. Zatrzymał się, gdy w drzwiach zobaczył pracownicę z segregatorami pod pachą.

– To są sprawy oczekujące na egzekucję. – Położyła papiery na biurku szefa.

Miszkowski chciał się na nie rzucić ale powstrzymał się.

– A sprawy nierozpoczęte?

Sekretarka spojrzała na Miszkowskiego z wyrzutem. – Zaraz przyniosę. To dopiero pierwsza porcja. – Wyszła z gabinetu.

Miszkowski zasiadł za biurkiem i wziął się do przeglądania dokumentacji.

Po chwili sekretarka weszła ponownie, z kolejną porcją spraw. Miszkowski musiał się nieco zmiarkować.

– Gdzie są sprawy jeszcze nierozpoczęte?

Sekretarka wyjęła ze sterty kilka segregatorów. Nie od-
zywając się położyła je tuż przed oczami szefa i wyszła.

* * *

Tym razem Zachary obudził się wcześniej. Siadł na łóżku, przetarł dłońią oczy. Spojrzał na Olgę. Na jej ślicznej śpiącej twarzy malowało się szczęście. Sam też czuł się jak nowo narodzony. Miniona noc była jedną z tych, która znacząco wpływała na poprawę ich małżeńskich relacji. Zachary z zadowoleniem skostatował, że ich częstotliwość ostatnio się nasiliła, jednak ostatnia noc była wyjątkowa. Olga okazała się wulkanem energii, dziką lwicą, nienasyconą modliszką. Nie miałby nawet za złe, gdyby został pożarty.

Sięgnął po bokserki porzucone obok łóżka.

Po paru chwilach przebudziła się również Olga. Docho-
dziły ją przyjemne zapachy z kuchni. Poszła za ich wonią.

Zachary stał przy kuchence.

– Cześć – odezwała się opierając o framugę drzwi ku-
chennych.

– Wypałaś się? – zapytał Zachary z wymowną miną na
twarzy.

– Chyba nie. – Zbliżyła się do męża przytulając się do gołych pleców. – Ale czuję się świetnie. – Pocałowała Zacharego w kark.

Uśmiechnął się. Wbił jajka do patelni, na której skwierczały już kawałki boczku oraz przysmażona cebulka i lekko podduszone pasemka czerwonej papryki.

– Robisz swoją słynną jajecznicę?

– Nie masz ochoty?

– Ależ mam. Oczywiście. – Zareagowała natychmiast. – Zrobię herbatę. Chcesz?

– Ychy – przytaknął.

Po chwili oboje siedzieli przy kuchennym stole jedząc ze smakiem jajecznicę.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – spytał Zachary.

Olga przegryzła kawałek chleba.

– Nie wiem – odparła. – Najpierw trochę posprzątam. Potem chyba pójdę na zakupy.

– Będziesz dziś pisać?

– Chyba tak. Po południu. A ty co zamierzasz? Na którą idziesz dzisiaj do teatru?

– Jak zwykle. Na czwartą.

* * *

Jerzy Naimski kończąc przed prawie dwoma laty studia prawnicze nie miał złudzeń, że bez odpowiednich koneksji nie uda mu się wejść do żadnej z hermetycznych korporacji prawniczych, nie mówiąc już o nominacji sędziowskiej, która byłaby ukoronowaniem jego marzeń.

Jeszcze jako student często przesiadywał w mieszkaniu ciotki swego przyjaciela. Kobieta bardzo go polubiła tak, że z czasem i on sam zaczął ją nazywać cicią, a nawet odpowiednio ją traktować. Gdy pewnego razu podzielił się obawami co do swojej prawniczej kariery okazało się, że ciotka przyjaciela dysponowała pewnymi możliwościami. Uruchomiwszy swoje koneksje znalazła dla kolegi swego bratanka możliwość obycia aplikacji komorniczej. Co prawda młody prawnik marzył o adwokaturze, albo o praktyce notariusza ale nie mógł sobie pozwolić na grymaszenie. Przyjął propozycję z pocałunkiem w rękę. Tak trafił do kancelarii komornika Ludwika Miskowskiego. Młody aplikant starał się wykonywać swoją pracę jak najstaranniej i powoli zaczynał się przyzwyczajać, do swojej przyszłej roli. Nie przeszkadzało mu nawet, że zawód komornika nie cieszył się uznaniem społeczeństwa. Mankament ten

łatwo przebijała perspektywa dobrych zarobków. Zatem starał się wypełniać swoje obowiązki jak najstaranniej. Ciężko pracował i przygotowywał się do egzaminów zdając je zawsze z wyśmienitym wynikiem. Wszystko, byle tylko osiągnąć zamierzony cel.

Rzeczywiście, aplikant szybko spotkał się z zaufaniem pryncypała. Szef nie wahał się dawać mu szerokich pełnomocnictw. Zawsze przed rozpoczęciem pracy chodził do kancelarii sądu po wszystkie pisma, które kwitował własnym nazwiskiem, a co sprawiało mu wielką satysfakcję.

Dzisiejszego dnia również poszedł do sądu po czym ochoczym krokiem udał się do biura. Od razu dostrzegł, że coś jest nie tak. Agata, sekretarka, siedziała przy swoim biurku z zatroskaną miną. Drzwi do gabinetu szefa były zamknięte, a na bufecie stała filiżanka z wystygniętą kawą. Codzienny rytuał odbiegał od normy.

– Co jest? – Naimski stał oczekując na odpowiedź. – Coś się stało? – Powędrował wzrokiem w kierunku drzwi szefa.

– Nie wiem. Od samego rana jest jakiś dziwny. – Szeptala sekretarka w odpowiedzi. – Najpierw długo, bez żadnej aktywności, siedział w swoim biurze, zupełnie jakby popadł w jakąś amnezję. Potem, ni z tego ni z owego, kazał przynieść

do siebie dokumenty wszystkich spraw i do tej pory siedzi tam przeglądając je.

Naimski spojrzał na swoje biurko. – Dałaś mu wszystko?

Agata skinęła głową.

– Wczoraj nie zdążyłem wszystkiego uporządkować? – Aplikant poczuł skurcz w żołądku na samą myśl, że w oczach szefa mógł się nie spisać.

– A co miałam zrobić?

– Dać mu tylko to co było już przejrane.

– Dobrze ci mówić. Nie widziałeś go.

Nagle drzwi szefa otworzyły się. Wyszedł z nich niby ten sam, a jednak zupełnie inny człowiek jakim go znało dwóch jego pracowników. Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

Wygląd Miszkowskiego był szokiem. Bez marynarki, dwa guziki koszuli rozpięte. Z pod wygniecionego kołnierzyka zwisał rozluźniony krawat. Niedbale podwinięte rękawy. Włosy rozmierzwione, a szkliste oczy zdradzały gorączkę.

– Szefie! Coś się stało? Trzeba coś załatwić? – Aplikant nie ukrywał zdziwienia w jaki wprowadził go widok swego pracodawcy.

Miszkowski położył na biurku sekretarki część segregatorów jakie wcześniej wziął do przeglądu. – Co to? – Wskazał na świeży plik dokumentów na biurku Naimskiego.

– Dzisiejsza porcja. Właśnie przyniosłem z sądu.

Miszkowski nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Podeszedł i wziął cały plik papierów do ręki.

– Jeszcze ich nie sklasyfikowałem – Naimski protestował.

– Ja je przejrę. – Komornik poszedł z dokumentami do swojego pokoju.

Oboje pracowników odprowadziło wzrokiem pryncypała, aż zamknęły się za nim drzwi.

Naimski zdjął marynarkę. Powiesił ją w szafie. Potem wziął dokumentację pozostawianą przez szefa. Położył ją na swoim biurku i siadając przed nim ciężko westchnął.

– Wiesz o co chodzi?

– Nie mam pojęcia? – odpowiedziała sekretarka i dodała szeptem. – Może szef popełnił jakąś pomyłkę.

– Pomyłkę? – Naimski powtórzył usłyszane słowo również ścisząc głos.

– No wiesz. Jakaś bezzasadna egzekucja.

– Bezzasadna? Co to znaczy bezzasadna egzekucja?

– No, taka jak te co pokazują w telewizji. Na przykład komornik eksmituje z mieszkania kobietę z dziećmi za długi męża alkoholika.

– Ale komornik tylko wykonuje postanowienie sądu. Żaden komornik nie miałby z tym problemów – wyjaśnił Naimski.

– Chyba powinnaś to wiedzieć po tylu latach pracy w tym biurze. Jesteś tu przecież dłużej ode mnie.

– Nigdy nie wiadomo co się w człowieku obudzi – odpowiedziała.

Naimski tylko westchnął zrezygnowany i włączył swój komputer. Wziął się do przeglądania poczty, ale jego myśli też krążyły wobec potencjalnych przyczyn nietypowego zachowania szefa. Najbardziej martwiłby go fakt, gdyby okazało się, że komornik popełnił jakieś wykroczenie lub dokonał jakichś czynności z rażącym naruszeniem prawa co mogłoby skutkować odsunięciem go od wykonywanej praktyki.

* * *

Miszkowski przeglądał dokumenty z wielką uwagą. Wyszukiwał osoby, wobec których jego biuro prowadziło bądź też miało przeprowadzić egzekucję na podstawie tytułu wyko-

nawczego opartego na wyroku sądowym. W szczególności szukał osób, których wierzytelność byłaby odpowiednio wysoka. Najlepszą grupą klientów mogliby być zwykli szarzy ludzie, którzy w czasach boomu gospodarczego wzięli pożyczki na zakup mieszkań i domów, a teraz nie było stać ich na spłatę rat kredytowych. Potencjalnie byli najlepszą grupą. Wystarczyło tylko dokonać eksmisji lokatorów, zlicytować lokum, zwrócić dług bankowi i zainkasować należną opłatę.

Co prawda obecnie banki już nie tak chętnie zwracały się do sądów i komorników o wyegzekwowanie tego rodzaju długu bowiem w związku ze wzrostem wartości walut obcych, w jakich w przeważającej ilości udzielano kredytów hipotecznych, dług często przekraczał wysokość pożyczki i ewentualna egzekucja nie dawała szans na odzyskanie kapitału. Jednak banki i instytucje finansowe okazały się czujnością i w kryzysie zwęszyły szanse na jeszcze większe dochody. Klientom, którzy wpadli w chwilowe tarapaty finansowe proponowano ugody polegające na wydłużeniu, zawieszeniu lub częściowym odroczeniu płatności rat kredytowych. Czasem banki nawet zgadzały się na zmniejszenie swojej marży. Oczywiście proponowane warunki nie miały nic wspólnego z ugodą. Jediną stroną, która w czymkolwiek ustępowała byli klienci, którzy postawieni

przed wizją utraty lokum przystawiali na proponowane im warunki. Najczęściej musieli kupić dodatkowe produkty, choćby obowiązkowe ubezpieczenie kredytu czy zgodzić się na używanie karty kredytowej, nie mówiąc już o tym, że szefowie banków zacierali ręce jeśli udało im się wydłużyć czas spłaty kredytu, podczas którego cały czas tyka bomba odsetkowa.

Oczywiście zawsze pozostawała grupa dłużników, której sprawy z jakichś powodów trafią do komornika.

Miskowski na jednej kupce składał akta spraw, które wydawały mu się łatwe i szybkie do przeprowadzenia. Gdy skończył zawołał aplikanta.

– Proszę przygotować te sprawy do egzekucji. – Wskazał Naimskiemu przygotowane przez siebie dokumenty. – Proszę nadać im priorytetowy status. Tylko bez chwili zwłoki. Rozumie Pan?

Jerzy Naimski przytaknął. – A te? – Wskazał na pozostałą część spraw z lekkim przerażeniem, że szef mógł je pomieszać i teraz przyjdzie mu wszystko na nowo porządkować.

– To proszę stąd zabrać. Zajmiemy się nimi później. – Miskowski zapiął guzik pod szyją, zacisnął krawat i rozwinął rękawy. – Teraz wychodzę na godzinę. – Założył marynarkę i opuszczając gabinet przystanął na chwilę, bowiem przypomi-

nał sobie o czymś oczywistym. Naimski, który cały czas dreptał za szefem również przystanął oczekując nowych dyspozycji. – Ale w pierwszej kolejności proszę przygotować egzekucję Buszaka. Jutro się tym zajmiemy.

– Ale tą sprawę chciał pan odłożyć na kilka dni, aż klient zmięknie.

– Zmieniłem zdanie – odpowiedział Miszkowski i zwrócił się do sekretarki. – A pani, pani Agato, proszę zamówić na jutro ochronę. Na dziesiątą. – I wychodząc z biura dorzucił jeszcze: – Czterech ludzi.

Naimski cały czas gapił się w drzwi, które lekko zamknęły się za komornikiem. Spojrzał na teczki z dokumentami w swoich rękach i skierował się na swoje miejsce. Wiedział, że dzisiaj szybko nie wyjdzie z pracy.

Rozdział 4

Do Leśnówki zbliżały się dwa samochody firmy ochroniarskiej. Na tylnym siedzeniu jednego z nich siedział Miskowski zastanawiając się nad przebiegiem egzekucji jaką zaplanował. Nie potrafił przewidzieć jej przebiegu. Ludzie zachowywali się bardzo różnie. Czasami w obliczu eksmisji łagodnieli niczym baranki, a czasem wpadali w szał. Nierzadkie też były przypadki wielokrotnej zmiany nastroju. Przeważnie jednak wizja utraty nieruchomości, a zwłaszcza domu czy mieszkania sprawiała, że klienci postanawiali iść na ugodę.

Samochody powoli wjechały pomiędzy pierwsze zabudowania. Ktoś stojący na uboczu prowadził wzrokiem nieoczekiwane we wsi, pojazdy.

– To tutaj. – Miskowski wskazał kierowcy interesujące ich obejście.

Kierowca zatrzymał samochód tuż przed otwartą bramą prowadząca na podwórze gospodarstwa. Obok zatrzymał się

drugi samochód. Na podwórzu nie było widać nikogo. Jeden z kierowców nacisnął klakson i wtedy z obu samochodów wyszli ochroniarze ubrani w ciemne stroje komandosów. Przy ich pasach widoczne były kabury. Widok ochroniarzy dawał komornikowi dodatkowy atut.

Cała czwórka stanęła na linii bramy oczekując jakichś odznak życia. Nie musieli długo czekać. Drzwi domu rozwarły się, i wyszedł z nich dość sporej postury mężczyzna, ubrany w robocze, acz czyste spodnie i wełniany błękitny sweter, spod którego wystawały fragmenty kraciastej flanelowej koszuli.

– Szukają Panowie kogoś?

Ochroniarze stali z kamiennymi minami. Nie odzywali się.

– No czego tu? To nie muzeum. – Buszak podszedł trochę bliżej. Gapiacie się jakbyście Najświętszą Panienkę zobaczyli! – Zaśmiał się ze swojego dowcipu lecz nie doczekał się żadnej reakcji. Podszedł do bramy i zaczął zamykać jedno ze skrzydeł.

Jeden z ochroniarzy podszedł bliżej i nogą obutą w wojskowy bucior, uniemożliwił zamiar gospodarza.

– O co chodzi? – Buszak najwyraźniej nieco się zmytygował.

– Nie chciał pan za pierwszym razem współpracować więc musiałem pofatygować się ponownie. – Usłyszał głos zza pleców ochroniarzy, którzy w tym momencie rozstąpili się. – Mówiłem, że się ponownie spotkamy.

– A po co pan tu przyszedł? Nikt cię człowieku nie zapraszał. – Buszak zaczynał się powoli gotować.

– Zaproszeniem jest pański upór. Przyszedłem wręczyć panu nakaz eksmisji. – Miskowski postanowił wyjechać z grubej rury i wyjął z teczki kartkę papieru podając ją Buszkowi.

– Co to jest? – Gospodarz z wielką ostrożnością wziął papier.

– Nakaz eksmisji.

– Eksmisji? Jakiej eksmisji? – Buszak zmitygował się, a na jego twarzy zagościł lekki ślad lęku. – A za co?

– No cóż. – Komornik wyjaśniał opanowanym i rzeczowym tonem. – Już panu mówiłem. Wziął pan kredyt z banku na zakup wyposażenia pieczarkarni, pod hipotekę własnego gospodarstwa.

– Ale żadnej hipoteki nie dawałem!

– Inaczej mówiąc pod zastaw. Czyli zobowiązał się pan do zabezpieczenia spłaty kredytu własnym gospodarstwem.

– I to jest tutaj napisane?

– No tu akurat nie, to zobowiązanie jest w banku na umowie kredytowej. – Miskowski wiedział, że tępym ludziom można wmówić wszystko, choć akurat to była prawda. – To jest nakaz eksmisji.

– Ale dlaczego akurat eksmisji?

– Panie Buszak. Czy pan myślał, że bank da panu pieniądze, których nie będzie musiał pan zwrócić? Podpisał pan umowę. W której zobowiązał się pan spłacać raty kredytowe przez określony czas.

– Ale ja je spłacę. – Buszak coraz bardziej się denerwował, a jednocześnie jego upór łagodniał. – Przecie nigdzie nie mówiłem, że nie spłacę. Tylko teraz nie mam pieniędzy!

– Teraz jest już za późno na takie dywagacje. Miał pan czas ugadywać się z bankiem, ale pan nie reagował na wezwania banku. Więc ten oddał sprawę do sądu i sąd wydał wyrok o egzekucję komorniczą. Zatem... – Miskowski zawiesił na chwilę głos by wygłosić niemal sakramentalną tezę – oświadczam, że eksmisja dojdzie do skutku...

* * *

– Pójdiesz po zakupy? – Olga zagadnęła do Zacharego wyciągając ze schowka odkurzacz.

– Oczywiście. Co kupić?

Podyktowała mężowi listę zakupów i już po chwili Zachary był na ulicy.

Wyszedł z domu po codzienne sprawunki, które głównie należały do jego obowiązków. Sprzątanie wzięła na siebie Olga, za co był jej niezmiernie wdzięczny. Wolał robić zakupy.

Wczesna jesień w mieście była ulubioną porą Zacharego. Zwłaszcza gdy dni były pogodne, a promienie słoneczne dawały przyjemne uczucie ciepła. Przedłużone lato zachęcało ludzi do wyjścia z domów. Wszędzie było pełno spacerowiczów. Jedni chodzili ulicami zaglądając w sklepowe witryny, gdzie indziej babcie prowadziły dzieci do parku lub na skwerki. W ulicznych kawiarenkach siedziało sporo ludzi, rozmawiających, uśmiechniętych, cieszących się chwilą.

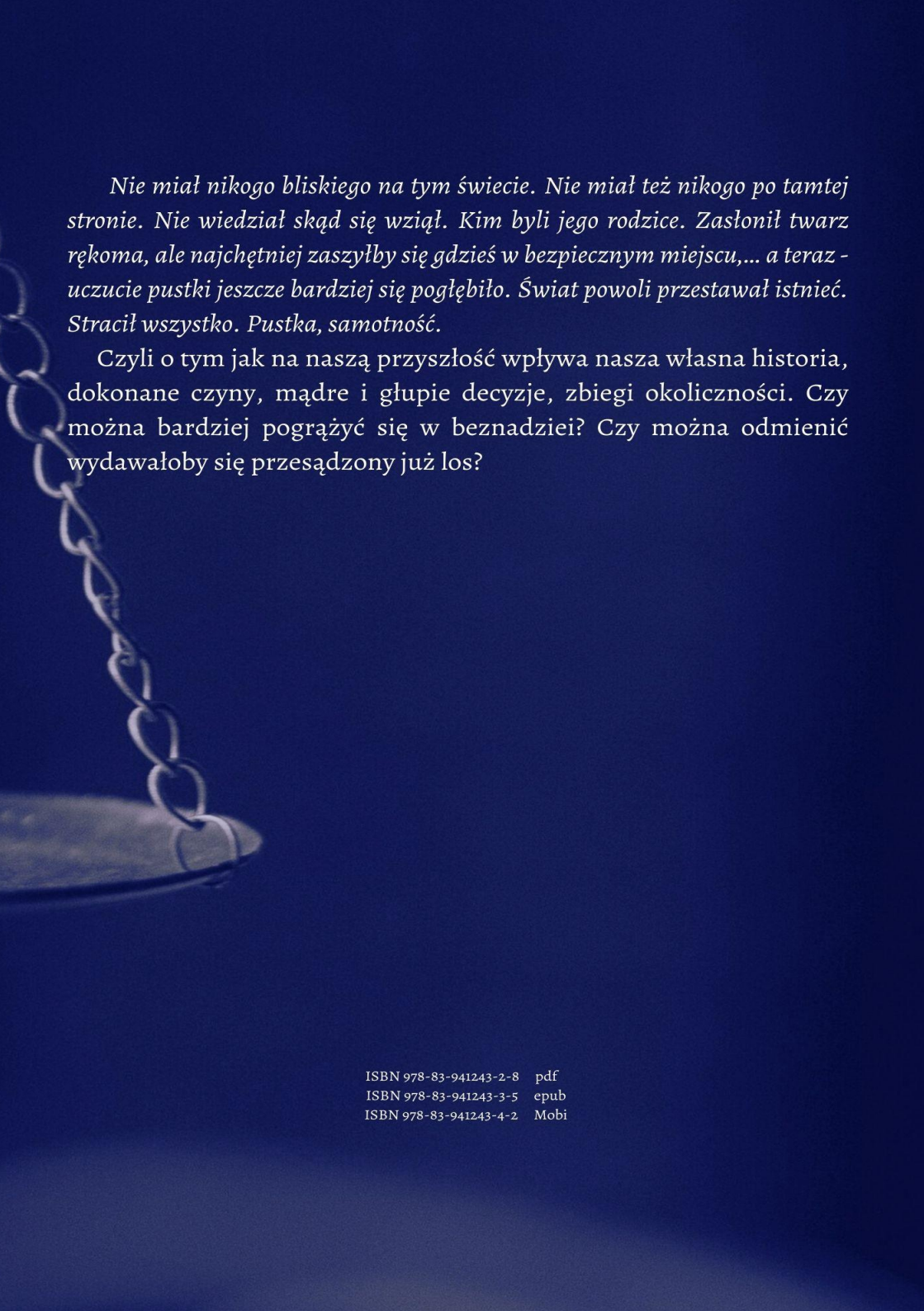
Zachary z lubością obserwował mijanych ludzi, wyglądających na bez troskich. Gdy doszedł do skrzyżowania ulic dostrzegł w dali elewację swojego teatru. Uświadomił sobie, że zapewne niemal każdy z mijanych ludzi nie jest wolny od swoich prywatnych problemów. Chorób, zawodów w miłości, niepowodzeń zawodowych, odrzucenia i niezrozumienia przez

bliskich, samotności, występków i wielu innych utrapień, których nie był w stanie wymienić.

Powędrował myślą do własnego zmartwienia. Od czasu gdy Olga nakryła go z Arlettą czuł się niewolnikiem mieszanki własnych uczuć, zobowiązań, niespełnionych potrzeb. Kochał swoją żonę całym sobą. Nie wyobrażał sobie bez niej życia, ale jego dusza i ciało potrzebowało czegoś więcej. Coraz bardziej czuł się więźniem konwenansów, tego co wypada i tego co należy, jednym słowem całej tej bezsensownej moralności wyrosłej z wielowiekowej tradycji, religii, obyczajności, czy też kulturowych zwyczajów. Wszystko to ograniczało go i coraz bardziej ciążyło. Wiedział, że nie może wrócić do swoich dawnych obyczajów jeśli chce zachować Olgę przy sobie.

Czemu ludzie są tak o siebie zazdrośni? Dlaczego miłość jednocześnie zniewala? Dlaczego miłość w rozumieniu tak wielu zakłada wyłączność? Czy to nie jest jakiś absurd?

Bezwiednie doszedł do sklepu spożywczego. Zajrzał na kartkę z zakupami i postanowił, że w sklepie zrobi tylko część zakupów. Po warzywa i owoce pójdzie na targowisko. Miał wrażenie, że sprzedawane tam płody rolne są zdrowsze, a poza tym miał ochotę na dłuższy spacer.



Nie miał nikogo bliskiego na tym świecie. Nie miał też nikogo po tamtej stronie. Nie wiedział skąd się wziął. Kim byli jego rodzice. Zasłonił twarz rękoma, ale najchętniej zaszyłby się gdzieś w bezpiecznym miejscu,... a teraz - uczucie pustki jeszcze bardziej się pogłębiło. Świat powoli przestawał istnieć. Stracił wszystko. Pustka, samotność.

Czyli o tym jak na naszą przyszłość wpływa nasza własna historia, dokonane czyny, mądre i głupie decyzje, zbiegi okoliczności. Czy można bardziej pogрузić się w beznadziei? Czy można odmienić wydawałoby się przesądzony już los?

ISBN 978-83-941243-2-8 pdf
ISBN 978-83-941243-3-5 epub
ISBN 978-83-941243-4-2 Mobi